№ 11.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali Opiekuna Domowego, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku Czytelnię Domową, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści belletrystycznej.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 3 (15) Marca 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. $11^1/_4$, oraz za opakowanie i ekspedycję kop $33^3/_4$). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda **Hösicka**, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

DZIEWICA ZAMKU NA SPIŻU.

(Podanie ludowe).

Jedną z najpiękniejszych prowincyj Węgier jest Spiż, po łacinie *Scepusia*, po niemiecku *Zips*, po madziarsku *Warmégye* i *Beszepez* zwana. Kraj ten w Tatrach, których tutaj najwyższa góra Krywań, 7538 stóp dochodzi, obejmujący 66 mil □, z ludnością przeszło 20,000, na samym krańcu północnych Węgier położony, oddzielony od dawnego województwa Krakowskiego bystrą rzeką Popradem, zamieszkały w części przez górali słowackich, a w części przez osadników niemieckich, sprowadzonych w XII i XIII wieku, zostawał przez znaczny przeciąg czasu pod panowaniem Polskiém. Kronikarze nasi powiadają: że Bolesław Krzywousty, wydając roku 1108 córkę swoję Judytę, za Stefana królewicza węgierskiego, syna Kolomana, dał mu w posagu ziemię Spiską, z obowiązkiem wszakże powrotu jéj po jego śmierci. Ale Węgrzy, korzystając z ówczesnego osłabienia Polski, zatrzymali ją, a Polacy nie myśleli też o jéj odebraniu. Dopiero w r. 1412, Zygmunt Cesarz Niemiecki i Król Węgierski, pożyczywszy od Jagiełły 37,000 kóp groszy pragskich, ziemię Spiską wraz z 13 miastami Polsce zostawił. Odtąd pozostała ona w posiadaniu Polski, aż do r. 1772, w którym przeszła pod panowanie Austryi i wcieloną została do Węgier.



Dziewica Zamku na Spiżu.

Rzeczywiście, śliczna to jest kraina, która niby królewska korona wieńczy skronie powabnéj Hungaryi, roztaczając się w północnéj lesistéj części państwa Węgierskiego, jak brylantowa opaska innych jego bogactw. Lasami pokryte Karpaty, których malowniczo wspinające się pod niebo piramidalne szczyty, wiecznym połyskują śniegiem, u ich stóp urodzajne doliny, czarującemi i obsadzone wzgórzami i poprzerzynane wartko płynącemi rzekami, dziko piętrzące się jedne na drugich nagie skały, wśród których z głuchym łoskotem pienią się liczne wodospady,

ziemia obfita w rozmaitego rodzaju kruszce i zdrojowiska lecznicze, jedném słowem, co tylko przyroda dobrego i pięknego dla pewnéj okolicy uczynić może, wszystko to zjednoczyło się w tym cudnym świata zakątku, który, jeżeli się nie mylimy, urodzenie swoje nie komu innemu, jak chyba matce poezyi zawdzięcza. Dla tego też opowiadają nam, że kiedy Madziary do Pannonii wkroczyli, zachwyceni pięknością tego kraju, mieli jednogłośnie wykrzyknąć: *„Be szep ez!“* (Jakież to piękne!) i że właśnie ten wykrzyk pozostał dotąd drugą nazwą madziarską ziemi Spiskiéj.

Tak nam mówią miejscowe podania, które na zamgloném tle dziejowém tego kraiku, prześliczne osnuwają baśnie. Jedna z takich baśni, a jedna z najdawniejszych, utrzymuje, że Niemcy Spiscy byli jednego z Gepidami pochodzenia, z Gepidami, którzy, jak nam z Biblii wiadomo, są potomkami Sema, syna Noego. Otóż arka tego patryarchy, według miejscowego podania, miała się tutaj z rozpaczy rozbić, w chwili kiedy Noe wysiadłszy na ląd, uraczył się zbytecznie znalezionem na nim winogronem,—i odtąd też przewodnicy karpaccy pokazują ciekawym turystom, zwiedzającym te górzyste okolice, na jedném, położoném wśród najwyższych gór jeziorze, to jest: na „bezdenném morskiem oku“ z pobożném zawsze przeżegnaniem się, kawał deski, która według ich twierdzenia, jest ni mniéj ni więcéj, jak szczątkiem arki wielkiego, brzydzącego się wodą, a smakującego za to w dobrém winie, przodka Gepidów, Noego.

Dziwną, ponętną osłoną tajemniczości otoczona jest baśń miejscowa o *Dziewicy zamku na Spiżu*. Podanie o niéj dziś jeszcze utrzymuje się wśród ludu, który wierzy, że każdéj jasnéj nocy księżycowéj, można podobno widzieć ową dziewicę zamkową, opartą o jeden z walących się filarów bramy, w powiewném, nocném ubraniu, z rozpuszczonym na wiatry włosem, z brzęczącym pękiem kluczy u pasa i wabiącą nieszczęśliwego, zbłąkanego wędrowca, do strzeżonych przez siebie ruin zamkowych.

Izydor Gajger, niemiecki pisarz i zamiłowany badacz podań ludowych, tak nam powyższą baśń opisuje:

Starałem się, wszelkimi, możliwymi środkami dojść do samego źródła tego podania, ale wszystko com z ust ludu zasłyszał, było ciemne, jakąś odwieczną, nieprzebytą mgłą zakryte. Dopiero pewien stary mnich kościoła i klasztoru ś. Marcina, utworzonego z dawnéj biskupiéj posiadłości, a leżącego naprzeciwko zwalisk zamkowych, zdołał ciekawość moję, dotąd między niepewnością i tysiącem wątpliwych sprzeczności zbłąkaną, z całą dokładnością zaspokoić. Spędził on długie lata na poszukiwaniu ukrytych źródeł tego podania, badał lud który je powtarza, szperał w łacińskich i gotyckich księgach, pokrytych grubym pyłem w archiwum klasztoru, dopóki usiłowania jego pomyślnym nie zostały uwieńczone skutkiem. Otóż, by ta dziwna legenda razem z sędziwym zakonnikiem w trumnie czasu, na zawsze pogrzebaną nie została, podaję ją tutaj do wiadomości powszechnéj.

Borsu, syn Bungera, zbudował na pograniczu obronny *Zamek Spiski*, celem ubezpieczenia swoich posiadłości od napadów. Żył on z najbliższym sąsiadem swoim, zamożnym panem polskim, nazwiskiem Juwski, w ustawicznéj nienawiści i wojnie. W jedném z takich zbrojnych spotkań na granicy posiadłości Juwskiego, Borsu, na lesistym brzegu Dunajca, zabił jedynego syna swego nieprzyjaciela i kazał zwłoki jego w wzburzonych nurtach rzeki zatopić. Juwski krwawą za to poprzysiągł mu zemstę.

Pan na Spiżu miał żonę cudnéj piękności, którą kochał i pielęgnował jak własną źrenicę, a może i więcéj nawet, bo kiedy Amalgis była jeszcze panną, a on w szlachetnéj dla niéj miłości potykać się za nią musiał, utracił w bitwie jedno oko. Ta strata uczyniła mu ją tém droższą, albowiem boleść doznana dla ukochanego przedmiotu, zwykle przedmiot ten jeszcze głębiéj w serce nasze wdraża. Jeden rok małżeństwa z piękną Amalgis, był najszczęśliwszym w jego życiu. Lecz wydawszy na świat pierwsze i jedyne dziecię, droga małżonka umarła w kilka dni potém. Borsu był niepocieszony w żalu i rozpaczy swojéj po takiéj stracie. Dziecię, prześliczna dziewczka, jak dwie krople wody do matki podobne, chowało się szczęśliwie.

Na to dziecię, które Borsu nazwał *ostatnią swoją pociechą*, przelał on wszystkie skarby miłości, jaka go dla Amalgisy ożywiała, skarby, podniesione jeszcze uczuciem ojcowskiego przywiązania. Każda chwila, zbywająca mu od wojny lub polowania, była poświęcona ukochanemu dziecięciu. Pielęgnował też ten swój klejnot z niewypowiedzianą troskliwością i jeżeli miał w samotném życiu swojém jaką chwilę szczęścia, to jemu tylko ją zawdzięczał. Dziecina rozwijała się szybko. Porzuciwszy pierś mamki, przeszedłszy szkołę wodzenia na paskach, trzyletnia dziewczynka jak młoda sarenka skakała wesoło około uszczęśliwionego ojca. Wtedy Borsu rzekł do swojéj siostry *Jadwigi*, żyjącéj z nim w zamku Spiskim: *Odtąd będziesz matką mojego dziecięcia, pilnuj go zatém jak matka!*

Około tego czasu, doszło do wiadomości Borsu, że pan Juwski, ów śmiertelny jego nieprzyjaciel, dowiedziawszy się o nadzwyczajnéj jego miłości dla córki, dał się słyszeć z straszliwém postanowieniem zemszczenia się na dziecku, za zamordowanie mu jedynego syna. Borsu, przeląkł się takiéj groźby. Zdarzyło się jednocześnie, że powołany z rycerstwem na wojnę, przymuszony był swój warowny zamek opuścić. Atoli, wychodząc na czele orszaku, pozostawił w domu liczny zastęp zbrojnych pachołków dla strzeżenia dziecka i rodzinnego gniazda, a siostrze swojéj dał następującą przestrogę:

— *Pilnuj mojego dziecka, mojéj Pociechy, jak własnego serca, bo jeśli wrócę, a ona najmniejszą poniesie krzywdę, odpowiesz mi za to twojém grzeszném życiem!*

Niestety! Jadwiga nie umiała pilnować ani własnego serca, ani powierzonego sobie dziecięcia. Jadwiga była młoda i piękna. Wiemy jakiemi to bywają młode i ładne dziewczęta. Może one dawnemi czasy były o jakąś odrobinę lepsze od dzisiejszych, ale w miłości były i są zawsze słabemi, wątłemi istotami. Pan Juwski wiedział o tém już wówczas równie dobrze, jak wie każdy dzisiejszy światowiec. Otóż Juwski namówił jednego ze swoich krewnych, młodzieńca cudnéj urody, do zastawienia miłosnych sieci na pannę Jadwigę. Jadwiga wpadła w nastawioną na nią łapkę. Drobniejszych szczegółów tego wypadku nie mogłem się dowiedzieć od mego poczciwego mnicha, ale smutne jego następstwa są takie:

Pozostawieni na straży zamku pachołcy, wierutne łotry, zapominając o poruczonym sobie świętym obowiązku pilnowania własności i skarbu nieobecnego pana, spędzali noce na bezustannéj hulance w karczmie sąsiedniéj wioski, — tam właśnie, gdzie dziś jeszcze wznosi się skromny, lecz wdzięczną i powabną budową zachwycający oczy kościołek parafijalny. Jadwiga, świadoma tego zaniedbania, wyrzucała je niejednokrotnie strażnikowi bramy zamkowéj, obiecując poskarżyć się z czasem przed wracającym z wojennéj wyprawy bratem. Ale kiedy czyhający na ponętną zdobycz kochanek, wśliznął się najprzód w okolice zamku, potém w jego wnętrze, a następnie w samo serce pięknéj, chwilowéj jego pani, Jadwiga zaczęła jakoś przez szpary już patrzeć na oczywiste zaniedbywanie służby pachołków. Jednak przyznać należy, że mimo to wszystko, nie spuszczała z uwagi bezpieczeństwa swojego i braterskiego gniazda, bo cały, ogromny pęk kluczy zamkowych, brzęczący zawsze u jéj pasa, świadczył wyraźnie, że chciała pamiętać o swojéj powinności. I poczuwając się do tego obowiązku, nie wierzyła nikomu, — nie wierzyła nawet pięknemu Stanisławowi, (takie było imię jéj uwodziciela), który mimo jéj serdecznego zaufania, obudzał w niéj zawsze jakąś trwogę i niewiarę, pod względem powierzonego jéj opiece i troskliwości dziewczątka, *Pociechy*. Tymczasem Juwski, wierny poprzysiężonéj zemście, nie odstępował od raz powziętego zamiaru wykradzenia jedynéj córki swemu nieubłaganemu wrogowi.

Stanisław potrafił gorącemi słowy miłości ukołysać wszelką nieufność w sercu Jadwigi i nakłonił ją pewnego razu do przyjęcia miłosnéj schadzki nocnéj, w lasku leżącym w pobliżu zamku. *Pociecha* spoczywała już błogim snem ujęta. Pachołcy opuścili jak zwykle służbę i sam tylko strażnik bramy zamkowéj, który znużony także, niezawsze mógł za wszystkich czuwać, pozostał na swojém miejscu. Jadwiga, zamknąwszy własną ręką drzwi i bramę i zabrawszy klucze z sobą, pospieszyła na umówione miejsce, gdzie długie i rozkoszne w objęciach ukochanego spędziwszy chwile, nad rankiem dopiero o powrocie do domu pomyślała.

Ale jeszcze jéj lekkie stopy nie przekroczyły brzegu nieszczęsnego lasku, kiedy już jakieś trwożliwe głosy uderzyły jéj uszy. Im więcéj zbliżała się do zamku, tém wyraźniejszym stawał się zgiełk i zamięszanie, jakie ją z tamtąd dochodziły. Szczekanie psów, krzyk służby, głosy wzywające po imieniu ją, *Pociechę* i Juwskiego, uderzały coraz wyraźniéj jéj słuch strwożony, ściskały coraz boleśniéj jéj przelękłe serce. Zbyt prędko miała się ona dowiedzieć o przyczynie tego strasznego zamięszania. Przyspieszywszy kroku, stanęła nagle pośród zgrai szukających ją na wszystkie strony pachołków, którzy jéj jednogłośnie całą przerażającą wypowiedzieli prawdę. Siepacze Juwskiego, podczas nieobecności Jadwigi, wdarli się za pomocą przystawionych do murów drabin, na dziedziniec zamkowy, pojmali strażnika bramy i szczupłą a niedbałą straż zamkową, powiązali wszystkich jak baranów i wpadłszy do komnat, porwali i unieśli z sobą spokojnie śpiącą dziecinę, *Pociechę*, tę najdroższą perełkę nieobecnego ojca. Wprawdzie wszystkie dziewki zamkowe rzuciły się skwapliwie do bramy, przywołując w niebogłosy zaniedbujących swą służbę pachołków, wprawdzie i ci pachołcy, zwietrzywszy coś o zamysłach pana Juwskiego i uzbroiwszy się doraźnie, przybiegli na ratunek, ale wszystko to na nic się nie przydało. Bra-

ma była zamknięta, klucze od niéj Jadwiga miała przy sobie, a Juwski dobrze umiał z okoliczności korzystać. Dowiedziawszy się o tém Jadwiga—struchlała. Zdawało jéj się że rozbolała pierś pęknie jéj z żalu, i przycisnąwszy miękką dłonią zrozpaczone serce i ostatnie wytężywszy siły, wbiegła do zamku, zostawiając już bramę i wszystkie drzwi otworem, w nadziei, że tą bramą lub drzwiami powróconą jéj zostanie tak straszna dla jéj sumienia strata. Sprawdziwszy na miejscu wydarzone nieszczęście, straciła już resztę wyczerpanych sił, upadła bezwładnie, a kiedy się ocknęła, zaczęła mówić nieprzytomnie i w gwałtownéj gorączce rwała sobie jak szalona swoje śliczne, jasne włosy.

Tymczasem wśród wojennych znojów, serce tkliwego ojca, Borsu, dotknęły jakieś smutne, straszne przeczucia. Mąż waleczny oprzeć im się nie umiał i pewnego pięknego poranku, dosiadłszy swego rumaka, w szczupłym orszaku kilku jeźdźców, wyprawił się do rodzinnego gniazda. Trzy doby czasu wystarczyły mu na przebycie drogi wiodącéj do cudnéj ziemi Spiskiéj, gdzie już ze wszystkich gór rozległo się bolesne echo, głoszące o gwałcie spełnionym na jego dziecięciu. Zrozpaczony ojciec tak niespodziewanym dotknięty ciosem, uczuł w duszy swojéj niapochamowaną boleść, gniew i żądzę zemsty. Poprzysiągł, że nie przestąpi progu swojego zamku, dopóki straconéj córki nie odzyska. Wtedy cała okolica stanęła pod jego sztandarem, by skarcić zuchwałego grabieżcę, i w jednéj chwili zebrały się tysiące zapaśników, gotowych ruszyć na Juwskiego.

Zamek Juwskiego stał na bardzo wysokiéj skale, otoczony dokoła głęboką fossą, utworzoną z całego szeregu naturalnych, zręcznie połączonych z sobą przepaści i wąwozów. Most był zwiedziony i przystęp do niego zdawał się być zupełnie niepodobnym. Lecz gniew i rozdrażnienie obrażonego ojca, nie widziały żadnych przeszkód, którychby pokonać nie można było. Gdy się strażnik zamkowy pokazał na murach, z zapytaniem czegoby oblegający żądali, Borsu krzyknął doń głosem piorunującym, że chce widzieć jego rozbójniczego pana. Juwski pokazał się zaraz, ale bez żadnego orszaku, tylko z *Pociechą*, ową prześliczną dzieciną na ręku, którą przerażonemu ojcu przedstawił z daleka. Oboje wyciągnęli do siebie drżące ramiona, a Juwski odezwał się głosem tak gromkim, że wszyscy stojący u stóp zamku, słowa jego najwyraźniéj słyszeć mogli: „Borsu! pomiędzy nami leży jedna z najgłębszych przepaści jakie mój zamek otaczają. Co do niéj żywcem wpadnie, wpadnie jak do grobu. Serce ojca—za ojca serce, dziecko—za dziecko!” To powiedziawszy, zakręcił niewinną dzieweczką w powietrzu i silném ramieniem rzucił ją w niezgłębioną otchłań. Dziecię raz tylko jękło w rękach kata, ojciec raz tylko krzyknął, przerażony straszną zemstą wroga i bezwładny upadł na ziemię, ale z tysiąca ust otaczających go towarzyszy wzbił się pod obłoki głos niewysłowionéj boleści i oburzenia.

Przyszedłszy wkrótce do zmysłów, Borsu wezwał skupione około siebie rycerstwo na uroczysty, zapowiedziany dzień sądu w swoim zamku. Domyślano się że jakieś straszne postanowienie owładnęło jego duszę, ale nikt nie umiał odgadnąć coby rzeczywiście uczynić zamierzał. Następnie kazał się wsadzić na siodło i jak błyskawica znikł z przed oczu towarzyszów.

W oznaczonym dniu, zebrało się na dziedzińcu zamku Spiskiego wielkie mnóstwo ludu, ciekawego rozstrzygać się mającéj sprawy. Na środku podwórza było wzniesione drewniane rusztowanie, czarnym przykryte kobiercem. Na niém leżał miecz, którego rękojeść także czarną obwinięta była krepą. Straszna trwoga malowała się w oczach zdumionych widzów. Dzień zbliżał się już ku schyłkowi, a nikt jeszcze nie wiedział co z tego będzie. Nareszcie, kiedy już słońce miało swymi ostatnimi promieniami pożegnać ziemię, Borsu, w żałobném odzieniu, z uroczystą powagą surowego sędziego, prowadząc pod rękę bladą jak śmierć, w białém, pokutniczém ubraniu i z rozpuszczonym włosem siostrę swoję, Jadwigę, wyruszył z zamku i przeszedłszy poważnie dziedziniec, wszedł z struchlałą towarzyszką na rusztowanie. Krótką ale piorunującą w każdém słowie przemową powiadomił zebrany lud i służbę zamkową o nieszczęściu jakie dom jego dotknęło. Opowiedział miłość swoję dla dziecięcia, jedynéj pociechy po ukochanéj żonie i obowiązki, jakie niepomnéj braterskiéj powinności siostrze poruczył. Potém odepchnąwszy rękę siostry, kazał jéj uklęknąć, pochwycił miecz—i jednym zamachem odciął jéj młodą, piękną głowę, od żywym strumieniem krwi oblanego kadłuba....

Po téj strasznéj egzekucji, Borsu szukał uporczywie śmierci w wirze wojennym i znalazł ją też wkrótce. Biedna Jadwiga, nawet w ciemnym grobie nie znalazła spokoju. Śród jasnych, księżycowych nocy, widywano ją rozmaitymi czasy, nawet już po zwaleniu się zamku Spikiego w białych, pokutniczych szatach i z rozpuszczonym na wiatry włosem, opartą o jeden z filarów zamkowych. Widzieć ją tam można czasami i dziś jeszcze, głośno brzęczącą pękiem kluczy zawieszonych u jéj pasa, wpatrującą się w dalekie okolice i wabiącą zbłąkanego przechodnia w swoję stronę. — Czy tym sposobem przywołuje swego przeniewiercę kochanka, by go jeszcze raz upieścić? Czy się stara przywabić porywcę poruczonego jéj dziecięcia, by na nim zemstę swoję wywrzeć? Niewiadomo.

Oto jest wszystko o czém się od mego przyjaciela mnicha dowiedziałem. Ma się rozumieć, że na tym temacie lud Spiski rozmaite inne jeszcze osnuwa rzeczy. Lud ten, tak jak każdy inny, lubuje się przedewszystkiem w historyach o strachach i zawsze połączonych z niemi ukrytych skarbach, które dla skazanego na ciężką niedolę ubóstwa, tak są pożądane. Otóż w jego przekonaniu Dziewica Spiskiego zamku, wabi do siebie wędrowca dla tego tylko, by mu oddać ukryte w pomienionym zamku nieprzebrane bogactwa, które wszystkich mieszkańców téj krainy odrazu uszczęśliwićby mogły.

O. S.

NOC NA POBOJOWISKU.

Noc rozbroiła bratobójcze dłonie,
Wicher piekielném zawtórował echem,
Jakby Bóg pomsty przeszedł po nad grzechem,
I zobaczyłem trupy—działa— konie.
Byłem zbolały zasłoniłem oczy,
Chciałem przeklinać niebiosa i ziemię,
Bo wstyd mnie było za to ludzkie plemię,
Lecz że mnie daléj niósł Anioł proroczy,
Więc stać musiałem i patrzeć na pole,
Na krew, na sztandar śmierci i zniszczenia.
Patrz! rzekł mi Anioł,—odrzekłem mu: widzę...
I cóż widziałem, cóż—Boże—ludzkości!
Jakże mam mówić o tém, gdy się wstydzę
Postępujących dróg teraźniejszości.

Ziemia krwią była oblana dokoła,
Ludzie leżeli martwi tysiącami:
Przebite piersi, porąbane czoła,
Zdały się jęczeć strasznymi głosami:
Wojno, przeklętą bądź na wieków wieki!
Co krok o trupa zawadzała noga:
Ten miał przymknięte, jak do snu powieki,
Ten utopiwszy dłoń pod sercem wroga.
Skonał na jego piersi, godząc grotem
W twarz przeciwnika. Tamten, jakby młotem,
Czaszkę rozbitą miał na drobne szczątki,
Ten znów całując jakoweś pamiątki,
Skonał ze łzami, wspominając może,
Dom, ojca, matkę, żonę, drobne dzieci,
Lub swoje dziewczę, które o téj porze,
Modląc się za nim, łzą srebrzystą świeci.
Spojrzałem daléj. Ramię przy ramieniu,
Brat obok brata, pluton przy plutonie,
Leżą z żelazem w ręku i w milczeniu,
Gwiazd koronami złocą sobie skronie.
Smutek chaosem stargał mi myśl w głowie,
A Anioł westchnął:—to bohatyrowie!

Powoli—z za chmur drżący i bladawy
Księżyc roztoczył srebrzyste promienie.
Anioł znów rzekł mi: patrz, jeśliś ciekawy...
I zobaczyłem jakieś wstrętne cienie...
Cicho, ukradkiem wszedłszy w krwawe stosy,
Jak piekieł duchy, stawały nad trupem,
A zdarłszy z niego odzienie i trzosy,
Pomiędzy góry uciekały z łupem.
— Co to za cienie? co to za postacie,
Profanujące męczenników zwłoki?...
— To są tygrysy głodne w ludzkiéj szacie—
Pomsta za nimi płynie już w obłoki.

Ludzkości! gdzież twa wszechmocna potęga,
Gdzie twoje ramię niosące zbawienie,
Gdzie twoje światło co ogniskiem sięga,
Aż pod słonecznych lazurów przestrzenie?
Patrz, twoja wielkość, twój wieniec się łamie!
Patrz, z twojéj piersi uleciała skrucha,

A więc ludzkości, obmyj swoje ramię,
Zrzuć bóstwo mordów gniotące ci ducha,
Pokrusz odwieczne nienawiści pęta,
Węzłem miłości połącz swoje dzieci,
I zagrzmij głosem co nad świat wyleci:
Wojno, bądź przeklęta!

Franciszek Gumowski.

TORQUATO TASSO.

(*Dalszy ciąg*).

Choroba Eleonony d'Est, ustąpiła wreszcie. Przybyła ona do dworu i Torquato został jéj przedstawionym. Uczucie jakie widok pięknéj księżniczki wywołał w duszy poety, znajdujemy opisane w jednéj z jego ód, w któréj mówi: „Uszanowanie i podziw zmroziły me serce, a pomimo to czuję ogniste strzały przenikające do jego głębi."

Eleonora miała wówczas około lat 30. Serce tkliwe i umysł wysoko wykształcony, rozwinęły w niéj przekonanie, iż prawdziwego szczęścia nie znajdzie wpośród uciech dworskich. Tą myślą wiedziona, utworzyła dla siebie byt spokojny i odosobniony. Życie ciche i skromne, jakie wiodła w pośród wytwornego dworu, wyrobiło mniemanie w niższych klasach społeczeństwa, iż jest świętą. Jéj modłom przypisywano powstrzymanie rzeki Po, grożącéj zniszczeniem Ferrary i uspokojenie trzęsienia ziemi, którego łoskot podziemny już słychać było.

Samotność podnieca tkliwe uczucia. Wkrótce też uczuła Eleonora iż miłość dla młodego poety coraz silniéj ciśnie się do jéj serca. Lecz wysokie stanowisko jakie zajmowała i ostre zasady odebranego wychowania, nakazywały jéj przywieść do milczenia głos miłości i zastąpić ją zimną, protekcyonalną przyjaźnią, która zamiast tłumić, coraz silniéj podniecała namiętne Tassa uczucia. Zamężcie Lukrecji z księciem Urbino, zwróciło bardziéj jeszcze myśl poety do ubóstwianéj Eleonory.

Był to czas szczęśliwy w życiu Torquata, w którym imaginacya jego wydała najpiękniejsze płody. Wtedy to rozpoczął przerwane przez lat kilka prace nad sławnym swoim poematem, *Jerozolima wyzwolona.* Napisawszy cały szkic prozą, obrabiał oddzielne jego pieśni wierszem, w chwilach usposobienia zgodnego z ich treścią, rozwijał pojęcia filozoficzne w dyalogach godnych Cycera i Platona, a nadto, zwyczajem owoczesnym, opiewał wdzięki pięknych dam Ferrary, w pośród których Eleonora d'Est, pod imieniem Laury i Lukrecja Bendidio pierwsze zajmowały miejsce.

Wiadomość o słabości ojca przerwała miłe zajęcia poety. Pospieszył do Ostii nad Po, gdzie Bernard Tasso był gubernatorem. Największe wszakże starania nie zdołały powstrzymać choroby, w skutek któréj ojciec jego życie zakończył dnia 4 Września 1569 roku. Wypadek ten tak silnie oddziałał na Torquata, iż sam uległ dosyć niebezpiecznéj słabości. Odzyskawszy jednak zdrowie, powrócił do Ferrary i ulubionych swoich prac poetycznych, któremi zajmował się z równą jak poprzednio gorliwością, dopokąd jego protektor, kardynał Ludwik d'Est, nie zabrał go z sobą do Paryża, do dworu Karola IX, gdzie podążał dla obrony zagrożonego katolicyzmu. Kardynał przybywszy do Paryża r. 1570, przedstawił królowi Tassa, jako śpiewaka Gotfryda i innych rycerzów francuzkich. Karol IX przyjął go bardzo łaskawie. Za przykładem króla poszli dworzanie, szlachta i uczeni. Tak więc Tasso w ciągu pobytu w Paryżu, odbierał zasłużone hołdy należne wysokiemu jego talentowi.

Przybywszy do Rzymu r. 1572, został najserdeczniéj przyjęty przez kardynała Albano i dawnego swego przyjaciela Maurycego Cataneo. Tu rozpoczął negocyacye, dla otrzymania miejsca przy Alfonsie II, a nie doznawszy żadnych trudności, w tymże samym roku powrócił do Ferrary.

W Ferrarze zawakowała katedra geometrji i astronomji, przy uniwersytecie. Posadę tę ofiarowaną sobie przez księcia, przyjął chętnie; rzadkie bowiem wykłady tych nauk pozostawiały mu dosyć wolnych chwil dla poetycznych zajęć. W czasie nieobecności księcia, Tasso wolny od obowiązków dworzanina, napisał w ciągu dwóch miesięcy piękny dramat pasterski *Amintas.* Przeznaczeniem tego poematu było bawić dwór księcia Alfonsa. Powodzenie jego wszakże było tak wielkie, a słusznie mu oddawane pochwały tak głośne, że księżna Urbino zapragnęła widzieć jego przedstawienie i ulubionego swego poetę. Brat nie odmówił jéj prośbie. Tasso przybył do Pessaro, zkąd udał się do letniéj rezydencji książęcéj, w Castel Duranto. Tam muza jego dyktowała mu te pełne wdzięku utwory poezji, które pocieszały księżnę ubolewającą nad nieubłaganém działaniem czasu, niszczącém powabną piękność, jaką niedawno jeszcze jaśniała. Poeta powrócił do Ferrary, kosztownymi obsypany darami. Niedługo księżna Urbino opuściwszy męża, wyrzucającego jéj dotkliwie niknącą siłę wdzięków pierzchających przed wzrastającym wiekiem, przybyła na dwór brata, aby tam szukać dla siebie pociechy. Być może iż poeta więcéj niż cały przepych książęcy rozpraszał smutne jéj chwile. Wdzięczna mu za to, światłą swą radą wspierała jego prace. Tymczasem poemat Tassa *Jerozolima* zbliżał się do ukończenia. Pragnąc utworzyć prawdziwe arcydzieło, nie ufał własnemu sądowi, lecz umyślnie obudził przeciwko sobie głos krytyki, z którego postanowił korzystać. Na to wezwanie posypały się różnorodne zdania i rady, z których poeta nie tylko żadnego nie odniósł pożytku, lecz nadto pozbawił się dobrowolnie własności swego utworu, który w licznych odpisach po całych rozbiegłszy się Włoszech, nareszcie bez jego zezwolenia ukazał się w druku.

Powodzenie poety na dworze Ferrary było bardzo wielkie, lecz wywołało ono wkrótce nienawiść nieprzychylnych mu dworzan, co uczyniło dalszy dla niego pobyt nieznośnym, do tego stopnia, iż zapragnął przenieść się gdzieindziéj. Chętnie gotowi byli przyjąć tak znakomitego poetę inni książęta na dworach swoich. Wiadomość wszakże o tém obraziła dumę Alfonsa. Dworzanie dostrzegłszy obojętność swego pana dla Tassa, poczęli gromadzić rozliczne intrygi, mające ostateczną jego zgubę na celu. Pomimo to, nie był on w możności rozerwać tych pęt silnych, w jakie go miłość dla Eleonory uwikłała.

Dwór Ferrary powiększył swoję świetność jeszcze bardziéj za przybyciem z Rzymu hrabiny de Sala i hrabiny Scandiano. Obiedwie były ubóstwiane, z powodu ich talentów i piękności. Hrabina Scandiano stała się tu przedmiotem ogólnego uwielbienia. Poeci dworscy opiewali jéj wdzięki, a pomiędzy nimi najpierwszym był Tasso. Książe Alfons, nieobojętnym patrzał okiem na piękną hrabinę, a dostrzegłszy iż ta wyżéj od niego ceni poetę, okazał mu jawną swą niechęć—i odtąd skwapliwie przyjmował wszystkie nieprzychylne dla Tassa mowy swych dworzan.

Doszliśmy do epoki, w któréj powodzenie Tassa dosięgło swego szczytu. Odtąd zbieg smutnych zdarzeń, z zadziwiającym pośpiechem przygotował dla niego długie pasmo dni, nacechowanych boleścią i cierpieniem, które dopiero zamknęła ostatnia chwila jego życia. Ciągłe intrygi dworskie i nikczemna zawiść, oburzały szlachetne jego uczucia do tego stopnia, iż raz w pałacu księcia, uniesiony gniewem, uderzył w twarz jednego z dworzan; obrażony przygotował śmiertelną zemstę dla poety. Jakoż wspólnie z trzema swoimi braćmi, napadł go niespodzianie na ulicy, w zamiarze odebrania mu życia; lecz Tasso dobywszy szpady, rozproszył napastników i zmusił ich do szukania ocalenia w ucieczce. Ten czyn śmiały powstrzymał na pewien czas zuchwalstwo złośliwych dworzan. Dla przywrócenia poecie spokojności umysłu, Eleonora wywiozła go na dni kilkanaście do swego ustronia nad brzegiem Po. Cisza wiejska ułagodziła w istocie nieco wzburzony umysł Tassa; lecz odtąd jakieś ciemne i straszne widma inkwizycyi snuły się w jego myśli, nasuwając mu ciągle obawę odpowiedzialności przed tym strasznym sądem.

Poznawszy to usposobienie, pozorni jego przyjaciele, przekonywali go, iż dzieła jego filozoficzne na istotną narażają go odpowiedzialność i że nawet już jest denuncyowanym. Podejrzenie jego padło na jednego ze służących, na którego ze sztyletem w ręku rzucił się w pałacu księżnéj Urbino. Za czyn tak zuchwały, Alfons rozkazał go aresztować, a poznawszy następnie chorobliwy stan jego umysłu, odesłał go po pomoc lekarską do klasztoru Franciszkanów. Tu Tasso, wpośród spokoju w murach klasztornych, odzyskał przytomność, lecz nabrał przekonania, że życie jego jest zagrożone. Postanowił więc ratować się ucieczką. Jakoż, przy zdarzonéj sposobności, uszedł z Ferrary, bez stosownego odzienia, bez pieniędzy i papierów. W najsmutniejszym stanie przybył do siostry swojéj Kornelii, mieszkającéj w Sorencie. Miły klimat tych stron i tkliwa opieka jakiéj doznawał, przywróciły mu zdrowie. (d. n.)

KATAKUMBY RZYMSKIE.

Zaprowadzimy czytelnika w miejsca smutne, ale zarazem wzniosłe, jako pamiątki przeszłości — zaprowadzimy do Katakumb starego Rzymu. Są to nieforemne galerye, wy[illegible]te w piaskowcu lub

glinie, ciągnące się w rozmaitych kierunkach i rozgałęziające się na kilka piętr w głąb ziemi. Wśród korytarzy, których ściany stanowią jedne nad drugimi ułożone groby, pozamykane dachówką, gliną lub kamieniami, spotykają się kaplice, salki lub pokaźniejsze miejsca modlitwy. Takiemi katakumbami jest Rzym teraźniejszy okolony i w większej części podminowany. Wiele jest ich jeszcze nieznanych, a te co są znane, rozciągają się w różnych kierunkach pod powierzchnią ziemi na 300 mil długości i zawierają do 6 miljonów grobów. Pogański zwyczaj kazał palić umarłych, chrześcijanie przeciwnie chowali się w ziemi. Działo się to zwykle w następujący sposób: żłobiono w piaskowcu w linji pionowéj otwór nieco większy, jakby trumnę nieboszczyka, następnie przykrywano ją płytą kamienną, glinianą lub marmurową. W grobie męczennika znajduje się zwykle flaszeczka z jego krwią, obok owéj płyty wmurowana, albo wreszcie palma na płycie wyryta, a nader często i nazwisko. Miejsca nie można sobie było wybierać. Chowano wszystkich po kolei, rozszerzając zarazem według potrzeby ulicę podziemną. W taki to sposób powstały ogromne labirynty, których nie dość że dręczyły srodze całe ówczesne chrześcijaństwo, zabierając w niewolę tysiące nieszczęśliwych, wycinając w pień i niszcząc całe miasta i okolice, ale znieważały nawet i świętość grobów w owych katakumbach, szukając tam ukrytych skarbów. Z téj przyczyny poczęli około ósmego stulecia ówcześni papieże przenosić zwłoki świętych męczenników w miejsca bezpieczniejsze, do kościołów, leżących w obrębie murów miasta. Straciły wprawdzie przez to katakumby nieco uroku, ale zostały zawsze świętą pamiątką dla wiernych. Uroczyste przeniesienie zwłok i uczczenie ich pośmiertne, tysiące pielgrzymów odwiedzających miejsce walki i śmierci pierwszych chrześcijan, to cześć oddana męczennikomległym w boju najświętszym ludzkości, w boju za wiarę Chrześcijańską.



Noc na pobojowisku. (Str. 83).

ciasne przejścia w tysiącznych kierunkach się przecinają. Nawet sami chrześcijanie w owych pierwszych wiekach po Chrystusie, nie mogli się oryentować w tych podziemiach, układali więc sobie drogoskazy, z których kilka dopiero w najnowszych czasach odkryto.

Katakumby, o jakich mowa, jak to już wyżéj powiedzieliśmy, służyły do odprawiania mszy świętéj, do wspólnych zebrań na cichą modlitwę, lub na naradę spokojną w czasie niebezpieczeństwa i do schronienia od srogich prześladowań za wiarę.

Kiedy się wreszcie chrześcijaństwo ustaliło w państwie Rzymskiém, kiedy kościół i wiara chrześcijańska odniosły tryumf nad pogaństwem i nie potrzebowały się kryć przed oczami drapieżnych Cezarów, wyszły i katakumby pomału z używania, stały się miejscem świętém, wspólną pamiątką i świątynią wszystkich wiernych, celem pielgrzymki dla tysięcy pobożnych z całego świata. Nie ustały wszakże jeszcze i wtenczas prześladowania. Dzikie hordy barbarzyńców z północy i południa, Hunnów, Longobardów, Saracenów,

ŻÓŁTY WUJASZEK.

OPOWIADANIE,

przez

Władysława Łozińskiego.

(*Dalszy ciąg*).

V.

Wybiegłem na ulicę i pędziłem jak opętany do miasta, do kancelaryi Szalborskiego. Wpadłem tak impetycznie do biura, że aż wszyscy aplikanci się pozrywali. Dyzmy jednak między nimi nie było.

— Gdzie jest Szalborski?!—zawołałem na wstępie.

— Nie ma go!—odpowiedziano mi.

— To być nie może, moi panowie, bardzo proszę, powiedzcie mi gdzie jest mecenas? Potrzebuję go gwałtownie!

Złagodziłem głos mój, tamując gniew ile można było, aby nie utrudnić sobie wstępu do Szalborskiego.

— Ależ niech nam waćpan wierzy—odezwał się jeden z aplikantów najstarszy—pana mecenasa nie ma w téj chwili ani w domu ani w kancelaryi. Wyszedł do sądu, gdzie ma dziś termin. Jeżeli go waćpan koniecznie potrzebujesz, możesz go tam znaleźć.

Usłyszawszy to, nie pożegnałem się nawet i nie podziękowałem, ale wybiegłem na ulicę i pospieszyłem do *forum*.

Przeszkody w odszukaniu Szalborskiego, zamiast ułagodzić nieco furją moję, jeszcze bardziéj ją podżegały. Byłem wściekły na tego człowieka, o którym wiedziałem teraz z całą pewnością, że był sprawcą mego śmiertelnego frasunku, że wydarł mi nikczemnym podstępem to, co mi najdroższém było na świecie...

Zadyszany i rozburzony do głębi, wbiegłem na kurytarz gmachu sądowego, który umieszczony był w pojezuickiém zabudowaniu. Nawinął mi się zaraz na wstępie woźny, który na moje zapytanie, czy nie widział Szalborskiego, wskazał na głąb kurytarza. Spojrzałem tam, Szalborski stał z kilku innymi i wesoło rozprawiał. Gdym zobaczył zdrajcę, taki mnie szał gniewu opanował, że zapomniałem o sobie, a rozsądek umilkł pod przewagą namiętności...

W kilku skokach przypadłem do niego. Na widok ten rozstąpili się jego towarzysze, on sam jak kréda pobladł i chciał coś krzyknąć, zapewne wzywając ratunku. Nie dałem mu skończyć, schwyciwszy go w méj wściekłości za gardło, przycisnąłem głos w krtani.... Tak silnie go zdusiłem, że posiniał i oczy na wierzch mu wylazły... Potrząsłem nim kilka razy i zawołałem, pieniąc się od gniewu:

— Gadzie podły! — łotrzyku, zbójco nikczemny! Wiem ja o twéj zdradzie! Mów, gdzie moja narzeczona, panna Oleszanka! wyznaj, albo jak żmiję cię zduszę!..

Szalborski nic nie odpowiadał, bo też i nie mógł nędznik, gdyż chrapał zaledwie pod moją dłonią... Jednym tedy zamachem powaliłem go na ziemię, i kto wie czy byłby żyw wyszedł z téj przygody, gdybym się nagle nie uczuł pochwyconym przez kilkoro rąk z tyłu.

Byli to pachołcy sądowi; kilku ich naraz zwaliło się na mnie, ale z wielką biedą wyrwali z rąk moich Szalborskiego, takiéj żelaznéj siły dodawała mi wściekłość. Przemógłszy mnie nareszcie, związali, choć się broniłem jak lew rozjuszony, i na polecenie samego Szalborskiego, który tymczasem przyszedł był nieco do siebie, odwiedli a raczéj odnieśli na poblizki odwach wojskowy.

Opierałem się co sił starczyło i wołałem na obecnych, wzywając pomocy przeciw Szalborskiemu i jego zdradzieckiéj intrydze, ale daremnie. Patrzano na mnie jak na obłąkanego. Oblanego potem, znużonego walką, z ochrypłą piersią, z pianą na ustach, oddano mnie straży na odwachu, która mnie zamknęła w małym, ciemnym areszcie. Rzuciłem się na słomę, a zdało mi się że z bezsilnego gniewu i rozpaczy od zmysłów odejdę.

Straciłem przytomność na dobry przeciąg czasu. Gdy przyszedłem do siebie, już się miało ku wieczorowi, który, że to było w póżnéj jesieni, bardzo wcześnie się rozpoczynał. Z początku nie wiedziałem co się ze mną stało... Zdawało mi się że wszystko co tego dnia przeżyłem, było tylko ciężkim snem. Ale słoma na któréj leżałem, związane ręce i duszna wilgoć aresztanckiéj kaźni, przekonały mnie rychło że to nie mara senna, ale rzeczywistość....

Zwlokłem się z słomianego barłogu i podstąpiwszy pod drzwi, począłem pukać z całéj siły nogami. Zaglądnął przez małe okienko żołnierz a za nim kapral. Począłem wołać i prosić, aby przyszli do mnie. Po niejakiém wahaniu się wszedł do kałauzu kapral i łamanym niemieckim językiem, bo był Kroat, zapytał czego żądam. Takimże samym, a nawet jeszcze gorszym językiem — bo mało po niemiecku umiałem—pytam go, za co mię więżą...

— Boś człowieka chciał zamordować!—odpowiada.

— Tłumaczę mu, jak mogę, żem niewinny, że to ja stałem się ofiarą zbrodni i oszustwa; ale cóż to obchodziło kaprala, który mnie zresztą nie mógł rozumieć, bo i ja i on razem nie umieliśmy tyle po niemiecku, ile starczyło do porozumienia się.

— *Nix da! Alles ajnc! Befehl!* — powtarzał kapral na wszystkie moje argumenta.

Proszę ja go tedy, aby mnie odstawił na policyą, gdzie się wytłumaczę z méj winy, bo i tak cywilny jestem człowiek i juryzdykcyi wojskowéj nie podlegam.

— *Nix Alles ajnc!*

— Jest tu oficer wasz? — pytam,

— Niema, przyjdzie dopiero jutro z południa!

Masz tobie teraz! Proszę go tedy i zaklinam daléj, aby mnie pod muszkietami gdzie chce odstawił, bylem mógł się opowiedzieć kto jestem i byle mnie przesłuchano. Odpowiada mi na to, że musi mnie trzymać w kałuzie, aż po mnie przyszlą z policyi i aż oficer przyjdzie, bo z takim mu nakazem mnie oddano, i kazawszy rozwiązać, zostawia mnie znowu w ciemnéj celi.

Byłem w najokropniejszéj desperacyi. Byłem sam na siebie rozsrożony, bo byłoby nie przyszło do tego, gdybym był spokojnie i rozważnie wziął się do rzeczy. Popsułem wszystko moją gwałtowną furją. Szalborski mógł teraz tryumfować nademną.

Najczarniejsze myśli przepełniały mi rozgorączkowaną głowę.

— Nim z tąd się wydostanę— myślałem sobie— intryga zostanie spełnioną. Helenka padnie ofiarą gwałtu! Zmuszą ją wziąść ślub z owym nieznanym mi jakimś człowiekiem, którego jéj Szalborski przeznaczył, i straconą będzie dla mnie nazawsze!

Miałem ochotę strzaskać sobie o mur głowę. Wiedziałem że się ztąd wydostać muszę, ale nim się wydostanę, będzie zapóźno. Wszakże jutro pod wieczór miał się odbyć ów ślub. Cóż mi z tego, jeźli póżniéj odkryję intrygę? Helenkę, która tymczasem stanie się żonę innego, wywiozą znów w nieznane strony, jenerał wyjedzie, Szalborski wszelkie ślady zatrze, a mnie w naddatku w więzieniu za rozbój publiczny osadzi!....

Przebyłem noc najokropniejszą. Z natury żywego a nawet namiętnego temperamentu, krzyczałem, włosy sobie rwałem, lub płakałem naprzemian. Wyprawiałem taki piekielny hałas, że kapral mi zagroził, iż mi kawecan na usta założyć każe... Póki życia mego nie zapomnę téj chwili fatalnéj.

Tak przebyłem noc całą i większą połowę dnia następnego. Oficera nie widać było długo, aż nareszcie dobrze już po południu przybył zwiedzić straż odwachową. Po dwudziestu czterech godzinach najsroższego niepokoju i bezsilnego szału, zabłysnął mi wreszcie promyczek nadziei. Trwoga wprawdzie najrozpaczliwsza mnie przejmowała, gdym pomyślał że do wieczora pozostaje zaledwie kilka godzin, i jeżeli natychmiast nie będę wolnym, intryga szkaradna a tajemnicza Szalborskiego zostanie ostatecznie spełnioną—i Helenka padnie ofiarą gwałtu, oddając rękę na zawsze jakiemuś urzuconemu jéj człowiekowi. Ale zawsze była jeszcze słaba przynajmniéj możliwość ratunku.

Kapral zameldował oficerowi, że dostał pod straż jakiegoś gwałtownego i rozsrożonego więźnia, a oficer kazał mnie zaraz stawić przed sobą. Rozpacz dodawała mi wymowy, choć po niemiecku, jak już powiedziałem, bardzo mało tylko umiałem, i począłem błagać oficera aby mnie natychmiast wypuścił. Oficer, jakiś Niemiec zabity, ale dość łagodny i wyrozumiały, wysłuchał mnie cierpliwie, nie wiem czy ze wszystkiem zrozumiał, ale następną dał mi odpowidź:

— Mospan Polak, ja nic panu pomódz nie mogę. Wypuścić pana na własną rękę nie mogę, ale odeszlę go natychmiast do dyrektora policji. Tam się tłumacz i protokół każ spisać, a potem niech ci Bóg pomaga! Kazał dwom żołnierzom wziąść muszkiety i odprowadzić mnie na policyą. Byłem i z tego zadowolony, bo przecież należało przypuszczać, że dyrektor policyi wyrozumiawszy o co chodzi, nie tylko mnie wypuści ale i pomocy ze swéj strony udzieli.

Mrok już zapadł, gdy mnie wywiedziono z odwachu. Widząc że już późna godzina, począłem się nanowo niepokoić. Kto wie jak wypadnie—a nuż w policyi mnie odrazu nie przesłuchają, ani mi nie uwierzą i po niemiecku, zwolna rzeczy dochodzić będą, a tu każda godzina, każda minuta rozstrzyga, i jak się spóźnię—będzie już po wszystkiemu! Niema co mówić, było to fatalne położenie! Cóż robić! jak sobie poradzić?.... Wpadła mi tedy rozpaczliwa myśl do głowy, uciec poprostu z pod straży.

Wprawdzie żołnierze co mnie konwojowali mieli muszkiety ostro nabite i mogli mnie zastrzelić jak psa, ale cóż mi już ważyło życie? Nie pamiętałem o niém, i byłbym rad rzucił się nawet na armaty, aby wydostać się na wolność i ratować Helenkę.

Idąc tedy między żołnierzami, oglądam się na wszystkie strony, kędyby najlepiéj zemknąć. Do policyi z odwachu było spory kawał drogi, a kilka razy skręcało się w rozmaite ulice. Na jednym takim skręcie westchnąłem do Boga, zebrałem wszystkie siły, zaczerpałem tchu do piersi, i nagłém a silném uderzeniem obaliwszy na ziemię jednego żołnierza, zrobiłem skok w boczną uliczkę i jak strzała szybko uciekać począłem...

Natychmiast jeden z żołnierzy dał do mnie ognia.

Szczęściem, źle mierzył, kula gwizdnęła mi po nad głową i ugodziła w mur poblizkiego domu.

Tymczasem powstał z ziemi ów powalony przezemnie towarzysz jego i obaj puścili się za mną w pogoń.

Darłem naprzód co sił stało, migając się tylko na skrętach

przed oczyma żołnierzy. Ci pędząc, ustawicznie wołali na przechodniów, aby mnie powstrzymano, ale że musiałem wyglądać groźnie i po desperacku, nikt mnie nie próbował ująć, owszem wszyscy mi się ustępowali.

Nikt mnie zresztą porządnie i z szlachecka ubranego nie wziął za prostego złoczyńcę, ale przeciwnie, myślano, że Austryacy łowią jakiegoś partyzanta z politycznych rozruchów, które w czasie wojen napoleońskich nie dawały Niemcom pokoju. (d. c. n.)

WIĄZANKA.

Natura uśmiecha się do nas, jak piękna kobieta. Po dwudziestukilkostopniowych mrozach, zgrabnie, delikatnie, bez dawania się ludziom w znaki błotem, nagle zrobiło się ciepło, sucho i tak przyjemnie na świecie, że nie chce się własnym oczom wierzyć żeby to była prawda. Słońce świeci sobie jak najparadniéj, a w południowych godzinach zdaje się nawet protestować swymi promieniami przeciwko zimowym paletotom, szubom, płaszczom i tym podobnym okryciom. Urocze warszawianki, niby majowe kwiatki, wyścibiają główki z odkitowanych okien i lufcików, spacerują, śmieją się, witają Saski ogród, a nawet chłodzą się, jak na ten raz, wodą tylko i wachlarzami, oczekując i oglądając się po cukierniach za... lodami! Czy to kpiny, czy żarty? Jak to, ledwie że się skończyły pączki — już o lodach myśleć! Ha, cóż robić, kiedy tak jest. Bardzo być może że natura uśmiechnąwszy się do nas różowemi usteczkami poprostu kpi sobie z nas, jak to jest u niéj dziś w modzie—bardzo być może, że to wszystko jeszcze nie w porę, że za parę dni lub tygodni, zaśpiewa nam zakatarzonym głosem: „Zawcześnie kwiatku, zawcześnie“—być może. Ale co mi tam do tego co być może, dosyć, że dziś niejeden i niejadna już mają apetyt na lody. Na lody... wybornie! Praga może ich obecnie dostarczyć darmo; a jeżeli wszyscy mieszkańcy powiśla mają do nich taki nadzwyczajny pociąg jak warszawiacy, to wkrótce zniką z nadbrzegów rzeki nakształt kamfory i cała nadwiślańska okolica, tanim kosztem, uwolni się od téj plagi.

Pęknięcie i ruszenie kry na Wiśle, pod Warszawą, odbyło się dnia 26 lutego, o godzinie 2 po południu. Olbrzymie bryły lodu wyrzucane przez wodę, niby powiewne listki, aż po za ochronny wał, piętrząc się jedne na drugich, imponujący przedstawiały widok, kilkutysiącznym ciekawym osobom—widok lśniących, kryształowych skał. Część przedmieścia Pragi, dolne place Warszawy i cała Saska Kępa, zostały zalane. Toż samo zupełnie powtórzyło się i w innych stronach kraju. W Toruniu puściły lody na Wiśle dnia 27-go zeszłego m. i zniosły środkową część mostu. W Krakowie, jak nam donoszą, znaczny jest wylew w tym roku, tak, że Grabie, Brzegi, Niepołomice i wiele innych miejscowości są zatopione. W obwodzie Mieleckim Wisłoka wystąpiła z przerażającą gwałtownością i wyrządziła niezmierne szkody. Prosna pod Kaliszem zmusiła niektórych mieszkańców szukać schronienia w ucieczce. Most pod Winiarami, na Swędrni, został zerwany, przecinając przez to komunikacyą z szosą warszawską, a cała okolica Kalisza zmieniła się w rozległe jezioro, zalewające wsie: Ogrody, Stare Miasto, Zawodzie i t. p., zalewając nawet park, ogród po-bernardyński i teatr. Pod Nową Aleksandryą (Puławami), zatopionych zostało 16 wsi, a nieszczęśliwi ich mieszkańcy, siedząc na dachach domów, z rozpaczą wyglądali ratunku, którego im w pierwszéj chwili, z przyczyny ogromnych płynących lodów, nikt dać nie śmiał i nie mógł. Straszne musiało to być położenie! Naturalnie że tu i owdzie nie obyło się bez smutnych dramatów i ofiar, a zarazem i bez godnych naśladowania poświęceń, jak np. w czasie wylewu Prosny pod Kaliszem, d. 22 lutego, kiedy kilkoro ludzi broniących mostu, między Żydowem i Piwonicami, porwanych zostało przez rozhukane bałwany i uniesionych na głębokie roztopy, bez żadnéj prawie nadziei ocalenia. Płynęli około półtoréj wiorsty i jak tonący brzytwy poprzyczepiali się konwulsyjnie do słabych krzaków i drzewek, oczekując co chwila straszliwéj śmierci. Nie było sekundy do stracenia — potrzeba było działać. Wtedy, jak donosi *Kaliszanin*, gospodarz ze wsi Żydowa, *Józef Drobnik*, ojciec kilkorga dzieci, wskoczył do wątłéj łodzi, do któréj przez szpary i dziury woda nieustannie wpływała i podążył na ratunek swoich bliźnich. Z wiosłem w jednéj a z szuflą do wylewania wody w drugiéj ręce, człowiek ten walcząc z wzburzonym żywiołem, po każdego z będących w niebezpieczeństwie płynął oddzielnie i wszystkich powrócił zrozpaczonym rodzinom, wyczekującym na brzegu. Jest to czyn godzien największéj pochwały. Cieszmy się, że mamy jeszcze takich ludzi. Józef Drobnik dobrze się zasłużył społeczeństwu,— społeczeństwu—które, spodziewam się, nie zapomni także ze swéj strony o tysiącach biednych osób dotkniętych tą nadzwyczajną powodzią.

Jak przewidywaliśmy w zeszłéj *Wiązance*, koncerty i odczyty w obecnym poście, są na porządku dziennym w Warszawie.

Z koncertów mieliśmy dotąd następujące: panny *Maryi Macharzyńskiéj*, *Józefa Servais* i *Aleksandra Zarzyckiego*, Dyrektora Towarzystwa Muzycznego Warszawskiego. Niedługo zaś spodziewamy się usłyszeć znanego nam kompozytora i fortepianistę p. *Józefa Wieniawskiego*.

Zapowiedziane *publiczne prelekcye*, na korzyść niezamożnych studentów tutejszego Uniwersytetu, w sali ratuszowéj, już się rozpoczęły.—Prócz nich mieliśmy także i kilka innych jeszcze odczytów, a mianowicie: dnia 26 z. m. w lokalu towarzystwa „Harmonja“ profesora *Zejdowskiego:* O romansach Szyllera w porównaniu ich z balladami Gethego,—w sali Stowarzyszenia subjektów handlowych, p. *Stanisława Kramsztyka:* O słońcu jako źródle siły, i p. *Stanisława Czarnowskiego:* O społeczném i historyczném znaczeniu handlu,—w Zakładzie nauki dla kobiet, p. *Milicera*, z chemji, o zastosowaniu zjawisk palenia,—w teatrze Dobroczynności na dochód ubogich, p. *Filipa Sulimierskiego*, redaktora *Wędrowca:* O niektórych naszych zwierzętach pożytecznych a uchodzących za szkodliwe, lub naodwrót—i profesora *J. Papłońskiego:* O zasadach wychowania domowego. Słusznie, podług Szanownego Prelegenta, wychowanie uważać należy pod dwojakim względem: moralnym i fizycznym. P. Papłoński szczególniéj robił nacisk na pierwszy okres wychowania, który oznaczył do 9-ciu lat wieku. Jest to okres najczęściéj zaniedbany, chociaż stanowiący najwłaściwszą porę do posiewu cnót w młodociane serce dziecięcia, do zaszczepienia w niém uczucia religijności, ducha ofiary i poświęceń, do zrobienia, jak pięknie się wyraził: „wielkiém tego maleństwa“ — wymieniając konieczne dla wychowujących przymioty: spokoju, taktu, rozwagi, energji, a przedewszystkiem żądając własnego dobrego przykładu.—We Lwowie, z odczytami dla kobiet, występują pp. *Dobieszewska* (Józefa Śmigielska) i *Felicya Wasilewska*.

Na scenie *Teatru Rozmaitości* ukazały się znów dwie nowości, a raczéj dwie tłumaczone, nie wiedzieć na jaką pamiątkę, farsy: 1) *Gwóźdź w zamku*, rzecz brudna, skandaliczna i nieprzyzwoita i 2) *Chichotka, czyli milijon na poddaszu*, rzecz wprawdzie moralna, ale za to nudna i nie odznaczająca się ani dowcipem, ani pomysłem. Od takich sztuk i tłumaczeń — zachowaj nas Panie!—Dramat p. J. Narzymskiego p. t. *Epidemja*, drukujący się obecnie w *Tygodniku Illustrowanym*, przedstawiony został po raz pierwszy na scenie krakowskiéj d. 25, a powtórzony następnie 26 i 28 z. m. W ogóle, pomimo niektórych błędów, dramat ten podobał się tamtejszym widzom i znawcom. Dnia 26 lutego wznowiono w Teatrze Wielkim arcydzieło Belliniego, operę *Normę*. Rolę Normy śpiewała pani Dowiakowska — Adalgisy, panna Wojakowska—Polliona (Severa) p. Filleborn. Opera ta pierwszy raz przedstawioną była w Mediolanie w r. 1822.

Na *Wystawę Sztuk Pięknych*, pominąwszy dawno już znane: *Śmierć Barbary*, *Przysięgę Jadwigi*, *Opłakane apostolstwo* i *Wydobycie zwłok Wandy*, zwracają na siebie uwagę zwiedzającéj publiczności, następujące utwory malarstwa: 1) *Krajobraz*. Brzozowskiego. 2) *Dolabela*, Lasockiego. 3) *Protazy*, Eliasza. 4) *Spalony młyn*, Ruśkiewicza. 5) *Noc Ukraińska*, Marczewskiego. 6) *Koncert domowy*, Heymana. 7) *Ślub sierocy*, Jasińskiego. 8) *Zjazd na polowanie*, Suchodolskiego. 9) *Sielanka zimowa*, Horowitza. 10) *Esterka*, Gersona. 11) *Kramarz*, Kostrzewskiego. 12) *Odbicie brańców*, Pillatego. 13) *Jutrzenka*, Jasińskiego. 14) *Wróżka*, Kostrzewskiego. 15) *Na ruinach starego zamku*, Godeckiego. 16) *Rozbrojony*, Rurawskiego. Z obrazów treści religijnéj odznaczają się: 1) *Madonna*, Kaczorowskiego. 2) *Święta Komunija*, Góreckiego. 3) *Matka Boska Szkaplerzna*, Kossowicza. 4) *S-ta Salomeja*, Dąbrowskiego. 5) *Narodzenie Chrystusa Pana*, Le Bruna.—

Literatura zaczyna się u nas powoli ruszać z odrętwienia. I gdyby tylko nie pewna koterya ludzi wzajemnéj adoracyi, mieniących się być, *jure caduco*, nieomylnemi powagami krytycznemi, którzy obawiając się własnéj swéj na tem polu niewiadomości, nie pozwalają niczemu i nikomu niewkupionemu do ich grona przejść po za dyktatorski ich *index* — i gdyby jeszcze nie tak wielki wstręt niektórych obywateli wiejskich do czytania i nauk—możnaby powiedzieć że niwa ta uprawianą jest obecnie jako tako—nieźle. Ale cóż, kiedy u nas *choć biéda w kamienicy to chop na ulicy!* Zamiast więc poważnie rozebrać studja nad Gramatyką Polską, *Ks. Malinowskiego*, zamiast obznajomić i zachęcić publiczność do nabycia pomnikowéj *Bibliografji*, *K. Estrejchera*, wychodzącéj w Krakowie, zamiast powiedzieć coś o *Wilji i jéj brzegach*, pośmiertném dziele hr. *Tyszkiewicza*, wydaném u J. I. Kraszewskiego, kłócą się natomiast, po cierpliwych szpaltach pism codziennych, o humoreski Kostrzewskiego, o satyry Kolców, o anonymy, o kwestye zadraśniętéj i niezadraśniętéj miłości własnéj — i o Bóg wié nie o co, tak, jakby nic lepszego nie było już do roboty. Ha, ha, ha! Panowie, czyż dla nas *Historya* nigdy nie będzie nauczycielką życia?...

Wyszedł 3-ci zeszyt *Muzeum Sztuki Europejskiéj*, zawierający w sobie staloryty: *Rembrandt i jego żona*,—*Chemik*,—*Wenecyanka*,—i drzeworyt przedstawiający portret *Dawida Teniers'a*.—

Nakładem wydawnictwa M. Dzikowskiego opuścił prasę dramat historyczny w 5-ciu aktach, Juljusza Słowackiego p. t. *Marya Stuart*,—i powieść p. t. *Kobiety i mężczyzni*, przez Józefa z Mazowsza.—

W tych dniach, zabawną miałem rozmowę z pewnym obywatelem z Łęczyckiego:

— Cóż tam słychać w waszych stronach? zapytałem go.

— Biéda i nic więcéj.

— A cóż porabiacie?

— Nic.

— Jakto nic?

— No, nic.

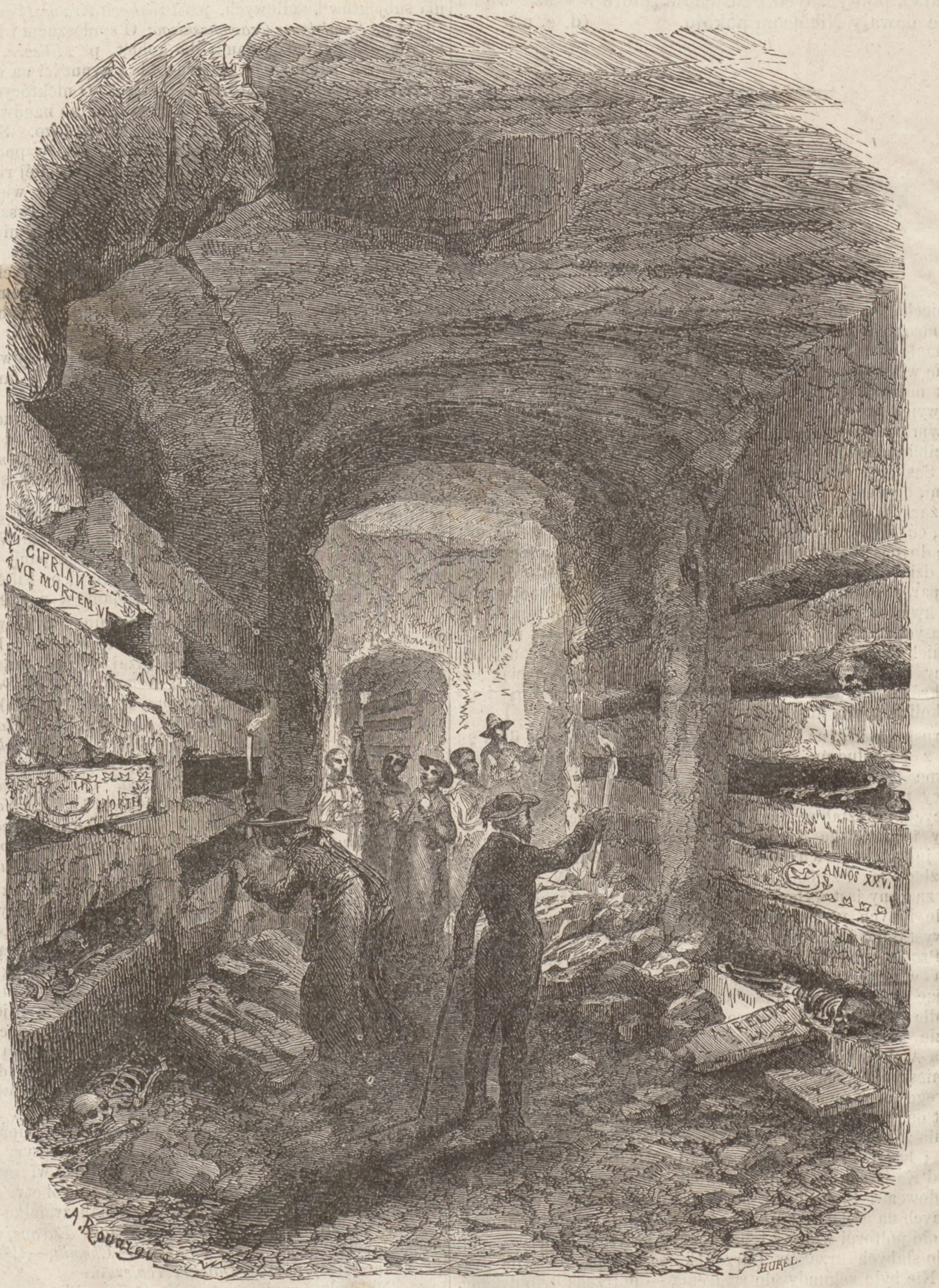
— Nawet nic nie czytacie?

— Ee, ktoby się tam dziś takiemi rzeczami zajmował. Gdybyście nam przysłali z jaką dobrą beczkę wina, tobyśmy ją zaraz *zaprenumerowali*, ale książki, gazety—ee!...

Boruto, ciesz się! Nieodrodnych po sobie zostawiłeś następców.

Dnia 26 z. m. w godzinach popołudniowych, odbyło się ogólne posiedzenie członków Stowarzyszenia Spożywczego „Merkury“, w gmachu Resursy Obywatelskiéj. Po zebraniu się około godziny 12 zaledwie 100 członków, posiedzenie zostało otwartém Najprzód wybrano przez głosowanie na prezesa posiedzenia p. J. Papłońskiego, a na sekretarza p. L. Paprockiego. Następnie odczytano sprawozdanie Zarządu z działania za 2 półrocze roku zeszłego, które po różnych acz słabych dyskusyach zupełnie zatwierdzone zostało. O Sprawozdaniu tém, ogłoszoném drukiem na parę tygodni przed ogólném zebraniem się Członków Stowarzyszenia, mówiliśmy już w poprzedniéj *Wiązance*. Najżywsze, choć niebardzo uzasadnione, toczyły się rozprawy co do możności przekroczenia przez Zarząd etatu na różne wydatki, i prolongacyi udzielanéj Członkom nie płacącym regularnie rat udziałowych, czyli wpisowego. Potém wszystkie wnioski Zarządu, z małemi tylko niektórych poprawkami, przez komitet sprawozdawczy, ogólnie przyjęte zostały. Najważniejsza poprawka dotyczyła się rozdziału zysku. Na zeszłém posiedzeniu ustanowiono, bardzo słusznie, aby członkom Zarządu, Delegacyi rewizyjnéj i Sądu polubownego, za ich pracę dla dobra innych, wypłacić tantjemę 23$_0$/^{0} czystego zysku. Lecz że do tego 23 procentu z czystego zysku, przybyły jeszcze w ostatniém półroczu nowe wydatki, na otworzenie Bazaru i dwóch sklepów, tak, że ogólny zysk dla każdego członka Stowarzyszenia, wynosił by tylko 3$^1/_2$% t. j. o $^1/_2$% mniejszy niż w poprzednich półroczach, Zarząd więc, Delegacya rewizyjna i Sąd polubowny, zrzekli się na korzyść stowarzyszonych, należnéj się im płacy, chcąc aby dywidenda wynosiła 4%. Lecz zebranie ogólne nie przyjęło tego zrzeczenia. Każda bowiem praca powinna być wynagrodzoną podług możności, a zatem i ci którzy pracują w Stowarzyszeniu i dla Stowarzyszenia, nietylko wynagrodzeni być winni, ale nawet nie mają prawa nie przyjąć wynagrodzenia. Wolno je potém każdemu zużytkować jak mu się podoba—lecz przyjąć je musi. Postanowiono więc, aby Członkom Zarządu, Delegacyi i Sądu polubownego, wypłacić całkowitą tantjemę 23% czystego zysku, a dywidendę oznaczyć na 3$^1/_2$%, na co zebranie jednomyślnie zgodziło się. Z całego tego posiedzenia okazuje się, iż obecny Zarząd, składający się z ludzi sumiennych i serjo rzecz traktujących, przez swą czynność, staranność, zapobiegliwość i dążenie do coraz lepszego rozwoju téj pożytecznéj instytucyi, zasłużył sobie, jak najsprawiedliwiéj, na zupełne uznanie i zaufanie stowarzyszonych,—co z jednéj strony niemałą daje rękojmię ich pomyślności. Z drugiéj jednak strony, można stowarzyszonym zrobić niejeden zarzut, a mianowicie: 1) niewypłacalność rat udziałowych; 2) lekceważenie dobra Stowarzyszenia, a zatem i własnych interesów, do tego stopnia, że na ostatnie posiedzenie, zamiast zebrać się o godzinie 10, zebrało się na godzinę 12 zaledwie 100 członków, kiedy wszystkich jest 1369; 3) nieświadomość niektórych członków co do ogólnego stanu Stowarzyszenia; 4) brak pewnego, wyrobionego zdania— i nareszcie 5) zbyt częste a niepotrzebne publiczne przemawianie tych osobistości, które właśnie najmniéj znają się na rzeczy.—

Jak słyszeliśmy, w Kielcach mają także zawiązać Stowarzyszenie Spożywcze „*Merkury.*“—



Katakumby Rzymskie. (Str. 84.)

Czy też czytelnicy uwierzą? W dziewiętnastym wieku nowożytnéj ery, znajduje się jeszcze w Kieleckiém dwór obywatelski, który na wyleczenie pokąsanego bydła przez wściekłego psa, zamiast lekarza lub weterynarza, sprowadza *wróża*, *guślarza*, żeby je *zażegnywał!* To niepodobna— odpowie mi niejeden. Niestety, tak jest. Mam czarne na białém. I jak się tu teraz dziwić prostemu ludowi, jeżeli klasa wykształceńsza i zamożniejsza, zamiast dać z siebie dobry przykład, dopuszcza się takich herezyj przeciwko oświacie, nauce i najprostszemu rozsądkowi! Pokazuje się że i w tamtych stronach, zamiast książek i pism peryodycznych, chętniéj *prenumerują* beczki węgierskiego wina.

Na zdrowie!...

△

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою, 1 (13) Марта 1871 г. — **Redaktor**, Stanisławski Oskar.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*.